

Gdzie jest ten tunel?

- Nie śpimy... – lekkie szturchnięcie. – Nie śpimy...

Naprawdę nie wiem, co mnie podkusiło? To była decyzja chwili.

Wczesnym rankiem w Katowicach na dworcu czekałem na pociąg do Krakowa. Kiedy usłyszałem komunikat, że za kilka minut odjeżdża pociąg do Raciborza, po prostu wsiadłem. Kupiłem bilet u konduktora i zadzwoniłem do żony, że wrócę dopiero wieczorem.

Pociąg ruszył i... chciałoby się powiedzieć, że już po chwili, ale nie, nie ma tak dobrze. Naprawdę trudno zrozumieć, dlaczego w trzeciej dekadzie XXI wieku przejechanie osiemdziesięciu kilometrów bezpośrednim (!) pociągiem zajmuje dwie godziny?

Najważniejsze, że dojechałem. Wsiadłem, w duchu pomyślałem: *veni, vidi* i... co jest grane? Gdzie, do licha, podział się dworzec?! Będzie nowy? Przecież poprzedni nie był taki stary. W latach siedemdziesiątych uchodził za bardzo nowoczesny, a teraz... wielka dziura! Prawdę mówiąc, coś tam już z niej zaczyna się wyłaniać, ale... dziura to dziura.

Wraz z innymi pasażerami ruszyłem w stronę bocznego wyjścia przy PKS-ie. No, dobrze że przynajmniej ten dworzec się ostał. Schodząc po schodkach odruchowo zerknąłem na skwer po prawej stronie. Był potwornie zarośnięty zielskiem, ale i tak dojrzałem w pobliżu wąż do kanału. TEN wąż.

- *Chłopaki, to musi być wąż do tego tunelu pod Odrą – zawyrokował Andrzej.*

- *Ale, jak to? – zdziwił się Benek. – Do Odry jest stąd daleko, więc niby dlaczego właśnie tutaj...?*

Pytanie było dość rozsądne, ale żadne rozsądne wątpliwości nie miały do nas dostępu. W końcu, od czego jest chłopięca wyobraźnia? Czego jak czego, ale w piątej klasie tej nam nie brakowało. Po krótkiej wymianie zdań wszelkie (dodam, że tylko drobne) wątpliwości zostały rozwiane i decyzja została podjęta jednogłośnie: Wchodzimy!

Już następnego dnia wieczorem (jesienią już o osiemnastej było ciemno) w całym, czteroosobowym składzie przybyliśmy na miejsce, uzbrojeni w jedną latarkę, świeczkę i zapałki (w

razie gdyby bateria się wyczerpała), gumowce (bo może być mokro) i... sznurek, będący namiastką nici Ariadny. Dodatkowo Benek zaopatrzył się w jakieś batoniki. On zawsze głodny.

Odsunęliśmy klapę i poświeciliśmy do środka. Zejście było kwadratowe, na jednej ze ścian metalowe klamry tworzyły drabinkę. Nastąpiła „konstruktywna wymiana poglądów”. Niestety, chyba jednak zbyt głośno dyskutowaliśmy nad kwestią pierwszeństwa w eksploracji domniemanego tunelu.

- Hej, chłopcy! A co wy tam robicie? – jakiś stanowczy głos przerwał naszą, coraz gwałtowniejszą, sprzeczkę. – Coś wam tam wpadło?

SOK-iści.

No cóż, w tamtych czasach nikt nie słyszał o kimś takim, jak Rzecznik Praw Dziecka, więc nie było się komu poskarżyć na rodzicielskie represje, ale jakoś przeżyliśmy. Chociaż w szkole na apelu dostaliśmy naganę, to wśród rówieśników (nawet tych ze starszych klas!) uchodziliśmy za bohaterów. Tak więc, w sumie, warto było. Oczywiście kilka klapsów, czy jakieś „szlabany” absolutnie nie wyleczyły naszego bakcyła przygody.

Nie pamiętam, kiedy po raz pierwszy usłyszałem o tym tunelu pod Odrą. Czy były to rozmowy rodziców, zasłyszane przy jakiejś „dorosłej” okazji? Może któryś z kolegów przyniósł tę pogłoskę? Czy też podczas szkolnej wycieczki do muzeum? Naprawdę nie pamiętam. Dość, że w młodocianych umysłach natychmiast zagnieździło się pragnienie odkrycia tego tunelu. Tak, ziarenko tajemnicy zdecydowanie trafiło na bardzo żyzną glebę. Właściwie cztery ziarenka, bo tyłu było nas w paczce.

Odtąd każda większa dziura w chodniku stawała się dla nas potencjalnym wejściem do tego, niemal mitycznego, tunelu. Aż doprowadziło nas to do kanału przy bocznym wejściu na dworzec.

Kolejne „odkrycia” nazwijmy umownie... nieporozumieniami. Na drugie (potencjalnie) poważne wyzwanie musieliśmy jednak czekać prawie dwa lata...

Nie mając żadnego planu poszedłem w lewo, rozkopaną ulicą Kolejową i Kościuszki, przy której kiedyś mieszkałem. Co dziwne, mijając „moją” kamienicę, nie czułem nic, byłem po prostu turystą. Skrzyłem w Jeziorową, ku Bema... kolejne zaskoczenie: zamiast miejskiego

basenu, z którym łączyło mnie wiele wspomnień, apartamentowce! Owszem, ładne. Przynajmniej tyle dobrego.

Tak sobie wędrując dotarłem aż do Świńskiego Rynku... o, przepraszam Placu Konstytucji 3 Maja. Do centrum wracałem ulicami Słowackiego i Miarki aż do Placu Wolności, a stamtąd Długą (trochę pustawą) do Rynku.

Andrzej mieszkał przy Długiej, przy skrzyżowaniu z Browarną. Któregoś dnia, czekał na nas pod szkołą.

- Chłopaki – zagadnął rozgorączkowany. – Na moim podwórku są głębokie wykopy, wymieniają jakieś rury czy kable. Słyszałem jak robotnicy między sobą gadali, że mają problem, bo dokopali się do jakiegoś korytarza. Słuchajcie, a może to jest właśnie TO?

Nie musiał mówić CO, bo to było dla nas oczywiste.

- Hm, to niezbyt po drodze do klasztoru – zauważyłem.

- No to co? Pod ziemią łatwo stracić orientację. Nie mieli kompasu, pomylili się i trochę zjechali w bok. Zdarza się.

Lekcje ciągnęły się niemiłosiernie. W końcu popędziliśmy zżerani ciekawością. Zastaliśmy teren wykopów solidnie ogrodzony barierkami i tabliczką „UWAGA, GŁĘBOKIE WYKOPY”. Wczesnym popołudniem otoczenie było zbyt uczęszczane, byśmy mogli cokolwiek próbować.

- Jutro z rana postaraj się dowiedzieć czegoś więcej i zamelduj – odezwał się Mały.

Andrzej tylko pokiwał głową.

- No i...? – następnego dnia nawet nie musieliśmy kończyć pytania.

- Ee, tam – Andrzej z rezygnacją machnął ręką. – To była tylko stara piwnica, bo przed wojną też tam stał jakiś dom, czy coś.

- Ale to nie znaczy, że nie mogło być połączenia z tunelem – nie poddawał się Benek. – Można było się do czegoś dokopać...

- Tak, do przedwojennych stoików z konfiturami i do beczki z kiszoną kapustą.

Dzisiejszy Rynek to osobny temat. Bardziej zabudowany, nie widać już kaplicy zamkowej. Chyba zbyt betonowy jak na dzisiejsze „zielone” standardy, ale za to sporo ogródków, co cieszy. Kto by pomyślał, że aż tyle lokali będzie miało rację bytu? Kiedyś była tylko nieśmiertelna „Raciborska”, a teraz proszę: do wyboru, do koloru. Z drugiej strony jednak nie ma już w mieście „Tęczowej”, „Bajki”, „Basztowej”. Wraz nimi zniknęły, na szczęście, wszelkiej maści mordownie: Przelot, Banderoza, Klepka, Piątka (ach, te nieoficjalne nazwy!) i wiele, wiele innych. Nie byłem ich bywalcem, ale one jednak istniały. Było je widać, słyhać i (niestety) czuć.

O, „Bolko”! Nie wiem po co, ale postanowiłem wejść. Wszedłem od strony „Raciborskiej”. Od razu zwróciłem uwagę na wielkie, błyszczące kafle na posadzce. Wyobrażam sobie klientów ślizgających się zimą w oblepionych śniegiem butach. Spacerując po „Bolku” od początku miałem nieodparte wrażenie, że zwiedzam muzeum. Brakowało tylko wielkiej skrzyni z muzealnymi kapciami przy wejściu. Trudno wytłumaczyć te skojarzenia z przeszłością, bo asortyment był dosyć zróżnicowany, aż w końcu, mijając kolejne stoiska, dokonałem odkrycia: byłem sam! Oczywiście nie licząc personelu. Dopiero na pasmanterii ujrzałem dwie klientki.

Zszedłem na dół drugimi schodami i tu zaskoczenie – normalny gwar i całkiem sporo ludzi, jak w każdym innym współczesnym spożywcza. Czyli to tylko na piętrze czas się zatrzymał?

Skusiwszy się na gałkę lodów w Gelatopiu (*primo voto* Garmażeria), minąłem kościół Jakuba i... nie wierzę! Parafrazując mistrza Wyspiańskiego, można powiedzieć: „Cóż tam, panie, w Raciborzu? „Piotruś” trzyma się mocno?”

Ano, trzyma się. Przez szybę dostrzegłem całkiem sporo klientów.

Miałem dwadzieścia lat, kiedy wraz z rodzicami przeprowadziliśmy się do Niepołomic. Niby nie było to bardzo daleko, ale od tamtej pory już w Raciborzu nie byłem. Jakoś tak się złożyło. Dziecięce, a później młodzieńcze, przyjaźnie też umarły śmiercią naturalną. Przez kilka lat wysyłaliśmy sobie kartki, a potem i to ustało. Na początku lat dwutysięcznych wszyscy zachłysłni się Naszą Klasą. Nie należałem do szczególnie gorących wyznawców tego komunikatora, ale i tak zdołałem się dowiedzieć, że z naszej „tunelowej” paczki Andrzej wyjechał do USA, Mały zrobił karierę w oświacie, a Benek... no cóż, spójrzmy prawdzie w oczy, stoczył się. Przykre, ale zdarza się.

Skoro już dotarłem do ronda, nie mogłem sobie odmówić pójścia na zamek. Za mojej pamięci o żadnym zwiedzaniu nie było mowy, a teraz proszę! Odnowione wnętrza, przewodniczka, itp. Nie spodziewałem się ujrzeć bogatych książęcych komnat i dobrze, bo takich nie było, ale i tak całość sprawiała korzystne wrażenie. No a dziedziniec! Naprawdę przyjemnie popatrzeć.

Pamiętam jak na pierzei, na której jest ta ściana z oknami były jeszcze jakieś zrujnowane pomieszczenia. Pewnie już całkiem się zawaliły i uratowano to, co się ostało. I bardzo dobrze! Do tego ta studnia na środku dziedzińca i lokal z dobrym (mmm... naprawdę dobrym!) piwem, a kiedyś to było prawdziwe rumowisko.

W „Nowinach” wyczytaliśmy, że na zamkowym dziedzińcu trwają jakieś prace. Nasza decyzja mogła być tylko jedna.

- Jak nie teraz, to kiedy? – zapytałem retorycznie.

To pytanie zresztą, mógł zadać którykolwiek z nas, tak byliśmy zgodni i jednomyślni. Na rekonesans wybraliśmy się po lekcjach. Bramę zamkową zastaliśmy zamkniętą, ale siatkowy płot od strony Odry nie mógł być dla nas, sprawnych siódmoklasistów, przeszkodą. Już po chwili znaleźliśmy się wewnątrz ogrodzenia. Co prawda Benkowi zajęło to nieco więcej czasu, ale i on dał radę.

Uważnie zlustrowaliśmy otoczenie. Jakaś betoniarka, przewrócona taczka, dalej niewielki stos cegieł i... dziura! I to całkiem spora. Tak, to musiało być to! Było widać nawet jakieś zmurszałe ceglane ściany i niknący w ciemności korytarz. Nie było widać dalej niż na metr, a wejść się nie dało, bo prześwit był za wąski. Co prawda, niedaleko taczki leżała łopata, jednak nie zdecydowaliśmy się na poszerzenie wejścia, bo nie byliśmy gotowi. To przecież był tylko rekonesans, ale przynajmniej wiedzieliśmy już, że coś tu jest. Musimy tu wrócić!

Planowaliśmy przyjść nazajutrz, niestety różne przeciwności losu (szkoła, prace domowe, pogoda i inne) złożyły się na to, że wszyscy razem mogliśmy wybrać się na zamek dopiero po kilku dniach. Nawet nie próbowaliśmy wejść bramą, tylko od razu przez płot.

- Co jest? – zawołał Mały, na widok zasypanej dziury. Tak, TEJ dziury! – To jest normalne świństwo!

Żeby wyładować swoją złość podniósł jakąś leżącą w pobliżu połówkę cegły i cisnął ją w leżącą niedaleko taczkę.

„Bum!” – zadudniło. No cóż, my też byliśmy sfrustrowani, więc uznaliśmy to za całkiem niezły sposób na uśmierzenie emocji.

„Bum, bum, bum!!! – niosło się po dziedzińcu.

- Hej! Czym wam zawiniła ta taczka? – zawołał ktoś zbliżając się od strony otwartej (tym razem, a jakże!) bramy.

- Stary! – krzyknął Benek i wszyscy rzuciliśmy się w stronę płotu. Niestety, jak już wspominałem, Benek nie należał do najsprawniejszych, więc tylko z daleka mogliśmy się przyglądać jak „stary” ściąga go z ogrodu.

Gwoli ścisłości muszę wyjaśnić, że w tamtych czasach „starym” był każdy dorosły psujący nam zabawę. Benek zdał sprawdzian z przyjaźni, bo nikogo nie sypnął, a „stary” okazał się sportowcem trenującym maraton, więc tak naprawdę, pewnie żaden z nas nie miałby szans, ale trafiło na Benka.

Kiedy nastały czasy Internetu, natknąłem się przypadkiem na wzmiankę o odnalezionej mapie. Zaintrygowało mnie to, więc trochę poklikałem i coś zobaczyłem? Ukośną kreskę łączącą zamek z dzisiejszym muzeum, czyli dawnym klasztorem ss. Dominikanek. Nie doszukałem się żadnej relacji z penetracją podziemi, przypuszczam więc, że skończyło się na samym oglądaniu mapy. Reakcje internetowe, to typowe przelewanie z pustego w próżne. Przyznaję, że i mnie temat trochę wciągnął. To było niejako wspomnienie odległego (niestety) dzieciństwa.

A gdyby tak jakiś współczesny georadar? E, to na nic – upomniałem się. – Wystarczy wspomnieć słynny „złoty pociąg” w dolnośląskiem. Georadary wskazywały, że już, że na pewno. Kilku naukowców z poważnymi tytułami przekonywało, że tym razem to musi być TO... i co? Kupa!

Z pewnymi oporami, ale jednak muszę stwierdzić, że raciborskiemu tunelowi, o ile w ogóle kiedykolwiek istniał, nie wróżę odkrycia. Mówiąc szczerze, jeśli chodzi o tę kreskę na starej mapie, to nasuwa się wiele wątpliwości. Bezsensowny wydaje się sam przebieg tunelu. Dlaczego przecina Odrę ukośnie? Nawet obecnie starano by się zrobić to prostopadle do koryta rzeki. Skos tylko niepotrzebnie komplikowałby całe przedsięwzięcie, znacznie je wydłużając.

Pamiętajmy, że wtedy Odra nie przypominała tej dzisiejszej. Cała woda płynęła miastem, nawet nie myślano o kanale Ulga. Wystarczy spojrzeć na przedwojenne widokówki, żeby sobie uzmysłowić szerokość rzeki w tym miejscu. Nie zapominajmy, że tunel był kopany (podobno) w średniowieczu! I czemu miał służyć taki inżynieryjny hokus-pokus? Żeby córeczka-przeorysza mogła odwiedzać tatusia-księcia? Jakoś mnie to nie przekonuje.

Tyle dygresji. Wracalem z zamku ulicą Drzymały. Może to głupio zabrzmie, ale stare mury miejskie wyglądają jak nowe(!). Nie wyobrażam sobie dzisiaj chordey dzieciaków ganiających się po zmurszałych ceglach. Że też wtedy żaden z nas się nie połamał?

Skręciłem w stronę placu Długosza. Zniknął wielki herb Raciborza przy Pivnej. Może to i dobrze, bo już za moich czasów był mocno sfatygowany, za to betonowa scena przed basztą jak stała, tak stoi. Ciekawe po co? Dziś już pewnie nie służy przemówieniom „na cześć...” i „ku czci...”, a na normalne współczesne koncerty raczej się nie nadaje.

Mam jeszcze dwie godziny czasu, więc korzystając z ładnej pogody, kieruję się do parku.

Park im. miasta Roth? Hm, co prawda kiedyś, w czasach słusznie minionych, patronem parku był gen. Świerczewski (Walter), ale i tak nikt tej nazwy nie używał. Wszyscy mówili, że to po prostu „park z łabędziami”.

Usiadłem na ławce i rozejrzałem się. Łabędzi już nie ma, ale za to sporo kaczek i rybitw. Ogólnie park wdaje się bardziej zadbane niż w moich wspomnieniach. Szkoda tylko, że tuż obok straszy ten brudno-czerwony moloch – stary szpital. W nim przyszedłem na świat i tu kilka lat później usunięto mi wyrostek. W pociągu sobie wygooglowałem, że już dosyć dawno miała miejsce przeprowadzka do nowego kompleksu za miastem...

Nagle coś mnie zakłuło w piersiach. Zatrzymałem się i usiadłem na pobliskiej ławce. Najpierw lekkie, potem coraz głębsze oddechy... No, przeszło. Trochę jeszcze posiedziałem i ruszyłem dalej, najpierw ostrożnie, a po kilkunastu krokach już całkiem rozluźniony...

OOCHHH!!! Ten ból był silniejszy niż... po prostu niewyobrażalny.

Potem już tylko ciemność. Nie czułem własnej cielesności. Było mi dobrze, bardzo dobrze. Nic mnie nie bolało. Błogostan... tak, to najlepsze określenie stanu, w jakim się znajdowałem.

Ciemność była wszechogarniająca. Do czasu, bo nagle pojawiła się biała kropeczka. Rosła, a raczej zbliżała się. Jakbym lewitował poruszając się w jakiejś rurze, albo raczej tunelu i zmierzał ku jego wylotowi. Chociaż wylot tunelu zbliżał się nieustannie, nadal nie było widać, co jest po tamtej stronie? Czułem, że to będzie... dobre. Po prostu: DOBRE. Całym swoim jestestwem pragnąłem TAM się znaleźć. Jeszcze trochę, jeszcze chwila i...

ŁUP1!!! O, Boże, cóż to za ból!!! Nie, nie chcę! Było mi tak dobrze... ŁUP!!! Znowu!

Przed chwilą byłem w takim cudownym NIGDZIE, a teraz czuję, że znów znalazłem się w potwornie bolesnym GDZIEŚ.

Światłość zniknęła. Nie zgadzam się! Ja tam chcę! Muszę! Ja...

GDZIE JEST TEN TUNEL???

Jakieś światło..., ale nie tamto, ciepłe. To jest ostre, drażniące. Czuję, że ktoś mi rozchylił powiekę i świeci czymś. To ktoś w jaskrawym kombinezonie, czuję, że się przemieszczam, ale nie idę, chyba jestem wieszony.

Dlaczego? Ja chcę z powrotem! Do tunelu!

GDZIE JEST TEN TUNEL???

Tam... było tak dobrze... może jednak się uda... odpływam...

Ktoś się nade mną nachyla...

- Nie śpimy... – lekkie szturchnięcie. – Nie śpimy...

Koniec

Sławomir Hanak